

Pawlikowice. Wiooo... Koniki!...

NASZE ŻYCIE

NUMER 2. KWIECIEŃ ROK 1936.

HASŁO MŁODYCH!

Chcesz posiadać naukę? popracuj naprzód odkryciem twoich niewiadomości. Gdy zaś poznasz, czego i jak wiele nie umiesz, czego i jak chciałbyś się nauczyć i czego nieuchronnie do twojej nauki potrzebujesz, natenczas bądź przekonany, że uczyniłeś pierwszy, lecz wielki krok na drodze doskonalenia umysłu.

JÓZEF JEŻOWSKI.

TREŚĆ MIESIĘCZNIKA:

DRUKOWANO JAKO RĘKOPIS.

Drukarnia „Powściągliwość i Praca”, Kraków, ul. Kazimierza Wielkiego 95.

Rok XIII. Nr. 2.

KWIECIEŃ

1936.

NASZE ŻYCIE

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY MŁODZIEŻY ZAKŁADÓW WYCHOW. TOW. „POWŚCIĄGLIWOŚĆ I PRACA"
POD REDAKCJĄ: KS. EDWARDA TOMZY.

Zakład Wychow.
Pawlikowice
p. Wieliczka.

Konto czekowe:
P. K. O. 404.854.

Telefon 54.



Wszystkim Czcigodnym i Szanownym Dobrodziejom Zakładu i Czytelnikom „Nasze Życie" z okazji Świąt Wielkanocnych śle staropolskim zwyczajem najserdeczniejsze życzenia „Wesołego Alleluja!"

Zakład i Redakcja

Zmartwychwstanie Pana... i nasze.

Koroną złotą słońce goreje
i urok wiosny przez wicher gnan
radosnym blaskiem z słońcem się śmieje.
zmartwychwstał Pan!
Z pieśnią skowronek w niebo wystrzela
nad zbóż łanami... I każdy łan
nowiny wielkiej wokrąg udziela:
zmartwychwstał Pan!
Dziwnym się czarem kwiecień rozżarza,
i pachnie wiosną... W rozwiewny łan
bije kadzideł dym z nad ołtarza:
zmartwychwstał Pan!
I rzeżwo spieszy lud do kościoła:
mieszczanin, wieśniak — i każdy stan
w święto wyzwolin pospólnie woła:
zmartwychwstał Pan!
I cała droga ojczyzna nasza
zbyła cielesnych i dusznych ran
rocznicę wielką cudu ogłasza:
zmartwychwstał Pan!
— — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —
I ja i Brat mój na Zmartwychwstanie
czekamy, idąc do Twoich bram
Bo my wierzymy, żeś Ty o Panie
zmartwychwstał nam!

Moje wspomnienie o Ks. Br. Markiewiczu.

W 1910 r, gdy zostałem uczniem i współpracownikiem ks. Markiewicza. Jego warsztat pracy w Miejscu Piastowem miał już za sobą 18 lat istnienia. Duży, dwupiętrowy dom na wzgórku mieścił przeszło 250 chłopców. Świeżo stanął piętrowy budynek warsztatowy. Już istniał niewielki młyn i — marzenie lat całych ks. Markiewicza — własna drukarnia. W tym właśnie czasie zjechał do Miejsca Piastowego p. Trojan, dawny uczeń ks. M., jako przyszły zarządca drukarni, a z Wiednia przybył monter, aby ustawić nowe maszyny drukarskie.

Otrzymałem stałą pracę bibljotekarza. Miałem przytem uczyć gimnazjastów łaciny i przyrody.

Prócz sierót do ks. M. zgłaszali się o przyjęcie młodzi ludzie, aby zostać [illegible]yszłości

kapłanami i poświęcić się, jak on, wychowaniu sierót i opuszczonej młodzieży. Przychodzili najczęściej po skończonej szkole powszechnej; trzeba więc było dać im wykształcenie średnie. Wobec braku nauczycieli z wielkim trudem udało się wówczas jako tako zorganizować cztery klasy. Przyczem gimnazjaści starszych klas byli braków w wiadomościach, ale drogą samouctwa lub przy pomocy starszych uzupełniali je. I naogół wynik ich pracy nauczycielskiej wypadał dobrze. Wychowankowie, którzy ukończyli szkołę w Zakładzie, wcale nie ustępowali absolwentom szkół powszechnych. Wielu z wynikiem dobrym zdało maturę gimnazjalną, a kilkudziesię-



Pawlikowice. Wiosna, do ogrodu, chłopcy!

„profesorami" w szkole powszechnej. Ks. Markiewicz był wrogiem bezdusznego formalizmu i w całej pełni stosował metodę swego mistrza św. Jana Bosko: „Ucz się, ucząc innych!" Zresztą musiał to czynić z konieczności, skoro od wychowanków swoich nie pobierał żadnych opłat. Może tu i ówdzie były pewne niedociągnięcia, bo młodzi, improwizowani nauczyciele musieli mieć wiele ciu ukończyło studja wyższe w kraju i zagranicą, uzyskując nawet doktoraty.

Oprócz nauki studenci mieli różne zajęcia. Jedni pracowali w kancelarji, załatwiając łatwiejszą korespondencję zakładową, inni jako dozorcy przy młodszych wychowankach, jako t. zw. dziesiętnicy, jako kucharze, garderobiarze, jako urzędnicy pocztowi, w administracji miesięcznika i d. Służby pła-

tnej w zakładzie nie było. Samowystarczalność należało stosować jak najściślej.

Ks. Markiewicz, jako proboszcz parafji w Miejscu Piastowem, cały dzień przebywał na plebanji, odległej o jakie 500—600 metrów od zakładu. Poza pracą duszpasterską zajęty był pisaniem artykułów do „Powściągliwości i Pracy“ i załatwianiem ważniejszej korespondencji. Pracę ściśle zakładową zostawił swoim pomocnikom, udzielając im wskazówek w ważniejszych sprawach. Nietylko nawał pracy i podeszły wiek (ks. M. liczył już blisko 70 lat), zmuszał go do tego, ale metodą jego było wyrobić jaknajwcześniej u swych pomocników i wychowanków samodzielność, bo dziecko ubogie musi jak najwcześniej sobie radzić. Dlatego bardzo cenił nietylko inicjatywę u starszych, lecz i u najmłodszych. Wychodził on z głębszego założenia. „Nie wiemy, mówił, przez kogo Bóg zechce udzielić nam dobrej rady“. I podziwiać czasem trzeba było tego męża, który potrafił być nieugiętym, gdy chodziło o podstawowe zasady, był odważnym szermierzem ich, choć były dla ogółu niepopularne, w życiu codziennem nie pogardzał radą nawet dwunastoletniego chłopaka, np. gdy przy rozpoczętej budowie wielkiego domu mieszkalnego pewien malec w przyjacielskiej pogwarce zwrócił mu uwagę, że trzeba mocny dom zbudować, aby oparł się huraganowym wiatrom od strony Dukli, ks. M. kazał pogrubić mury.

Ks. Markiewicz umiał cieszyć się z pracy swych pupilów. Chwalił ich wobec gości, im przypisywał główne zasługi, a z jaką szczerością i prawdą to czynił! Darzył ich nieraz tak wielkiem zaufaniem, że wywoływało to niekiedy protesty a nawet wprost przerażenie urzędników, jak np. wówczas, gdy swego 14 letniego Antosia wyprawił do Krosna po odbiór paru tysięcy koron! A jednak był czujnym i wiedział, komu zaufać. Był tego zdania, że roztropne zaufanie, okazane dziecku, jest dodatnim, potężnym czynnikiem wychowawczym. O tem wiedział z własnego doświadczenia. Opowiadał mi, że ojciec jego powierzał mu odpowiedzialny nadzór nad robotnikami, nad składem owoców, gdy miał zaledwie 8 lat.

Do zakładu przychodził tylko na obiad i wieczerzę. Ubogi to był obiad, uboższy, niż przepisywał zasadniczy przepis: żywić się na wzór okolicznych włościan lub robotników. Bo nie było za co kupić. Jedyną podstawą materjalną naszych zakładów — to Opatrzność, która kieruje sercami ludzi miłosiernych. Opatrzność nas nigdy nie zawiodła, ale nieraz mieliśmy ciężkie próby. Po moim przyjeździe zakład przeżywał większe niż zwykle trudności materjalne spowodu długów wekslowych, zaciągniętych na budowę Domu warsztatowego. A tu trzeba było wyżywić i utrzymać przeszło ćwierć tysiąca dziatwy. To wszystko odbijało się na kuchni. Obiad składał się bardzo często z kapuśniaku skąpo pomaszczonego albo kartoflanki. Nieraz kilka dni nie było chleba. Ale

któż tam o to dbał, widząc, jak kochany przez wszystkich ks. Rektor z humorem spożywał kapustę, opowiadając różne ciekawe rzeczy. „— O-o-o — co za królewski obiad zmajstrowali kucharze!“ zawołał raz, gdy podawano złocisto-purpurową marchewkę. Naprawdę marchewka uśmiechała się zachęcająco. Ale cóż, kiedy kuchcik niecnota posolił ją nietłuczoną solą. Nie chcąc w niczem uchybić królewskiemu majestatowi marchewki, z rozpaczliwą odwagą połykałem kawały soli wielkości bobu.

Ks. W. J.

CHIŃSKA BAJKA.

Był sobie chłop kamieniarz, co siedział przy drodze
Już od lat kilkunastu i narzekał srodze:
Na swój los nieszczęśliwy, na pracę bez końca,
Na tłuczenie kamieni wśród burz, zimna, słońca.

Wtem przejeżdża tamtędy cesarz, magnat wielki,
Siedzi na złotym wozie, ma dostatek wszelki.
Westchnął biedny kamieniarz: Ach, żeby ja kiedy
Mógł tak cesarzem zostać, używałbym tedy!....

Jak powiedział, stało się: kamieniarz cesarzem.
Jedzie na złotym wozie, chłodzi się wachlarzem,
Bo spiekota ogromna, a podróż daleka:
Leje się pot z cesarza jak z prostego człeka.

Słońce, jak naumyślnie, skwarzy, męczy, piecze;
Narzeka na los cesarz i ledwo się wlecze.
Ach ty słońce! — powiada — szczęśliweś na niebie,
Wszystkim możesz dokuczać, nikt nie dotknie ciebie!

Ach, żeby tak być słońcem! Ledwo to powiedział,
Stał się tarczą ognistą i na niebie siedział.
Strasznie smolił promieńmi, okrutnie się znęcał,
Swoim żarem, spiekotą wprost ludzi zamęczał.

Lecz przyszły grube chmury słońce zasłoniły:
Wszelkie jego wysiłki wręcz udaremniły.
Padał deszczyk ożywczy, wszyscy się cieszyli,
Że słońce już nie pali, bardzo radzi byli.

Wstyd się słońcu zrobiło, niezadowolone,
Czuło, że jest przez chmury całkiem zwyciężone.
Niema to, jak być chmurą, tak mówi do siebie:
Możniejsza jest odemnie, co chodzę po niebie.

Jak wyrzekł, znów się stało. — Jest ze słońca chmura.
Ogromna, na pół nieba, straszna i ponura.

Zaraz się też zabrała lać deszczu strugami:
Woda wezbrała wszędzie, rwała potokami.
I zabierała wszystko, przynosząc zniszczenie;

Jedne się jej oparły skały i kamienie.
Złości się na to chmura, nawałnice ciska,
Kamienie ani drgnęły ze swego łożyska.
I znów na los narzeka, pobitą się widzi,
Zwłaszcza gdy chłop kamienie tłucze i z niej szydzi.

Widzi, że jednak człowiek, choć słabe stworzenie:
Kruszy swemi rękami skały i kamienie.
Napowrót pragnie chmura stać się kamieniarzem,
Nie chce być więcej słońcem, chmurą ni cesarzem.

I tak z chmury kamieniarz, ale już spokojny,
Dalej kamienie tłucze i je chleb, choć znojny.
Już więcej nie narzeka, jest zadowolony,
Że mu stan jego dawny został przywrócony.

Wtedy człowiek swe szczęście i radość znajduje,
Jeśli do woli Stwórcy swą wolę stosuje.
I najniższe zajęcie, jeśli wedle Boga,
Jest do szczęścia ziemskiego i wiecznego — droga.

K. B. Sł.

Obrazki z „naszego życia".

Są idee wiecznie żywe i wiecznie musujące młodością. I taką jest idea ks. Bronisława Markiewicza, której treścią jest służba, w duchu Chrystusowym, dla rzesz najbiedniejszych w sensie duchowym, a najczęściej i materjalnym, bo dla sierot.

Ideę tę czasy obecne, określane mianem kryzysowych, w specjalny sposób uaktualniają, dlatego za objaw naturalny uważać należy fakt, że zakłady wychowawcze ks. Markiewicza, walczące stale z niedostatkiem materjalnym, w dzisiejszych czasach rozbudowywać się potrafią.

Wystarczy spojrzeć na dziedzińce ważniejszych ośrodków wychowawczych ks. Markiewicza, by dostrzec, że trzonowym budowlom wyrastają skrzydła, to znów wznoszą się samodzielne odrośle budowlane z przeznaczeniem na mieszkanie, szkołę lub warsztaty.

Budowanie w dzisiejszych polskich warunkach gospodarczych uważane jest za objaw dobrobytu, jednakże w warunkach życiowych Zakładów uznać je należy za objaw i dowód żywotności idei Założyciela.

Jakżeż często, jeśli nie zawsze, rozpoczyna się budowę,



W stolarni.

bagatelizując, jeśli można się tak wyrazić, kwestję finansową, licząc na to, że chmury, wynikłe z tego zbagatelizowania, rozprószy siła żywotnej idei.

I trzeba przyznać, że taka niekupiecka, tchnąca romantyzmem, kalkulacja okazuje się jedynie słuszną, jest ona swojego rodzaju fantazją, która przyczynia się pomyślnie do wcielenia idei w czyn.

Bo i jakże nie budować, skoro pragnie się, by zasięg dobra płynącego z idei jak najbardziej upowszechnił się; chcąc biedzie zaradzić, trzeba jej dać schron, a tym dla młodego chłopca jest izba mieszkalna, kościół i szkoła.

Zwiedzający zakłady wychowawcze ks. Markiewicza nie mogą być tylko, chcąc dziełu oddać sprawiedliwość, amatorami pięknie malowanych ścian, parkietów i nowoczesnych urządzeń higjenicznych.

Nie można zakładom ks. Markiewicza, mojem zdaniem, przeciwstawiać zakłady nowocześniej i lepiej urządzone.

Kierownicy zakładów ks. Markiewicza posiadają w tej sprawie własną logikę myślenia, wspartą o idee Założyciela i osobistą praktykę.

Oto parę przesłanek tego myślenia: 1) nędzy wśród ogółu młodzieży polskiej jest tak wiele, że jeszcze przez długi okres czasu budować trzeba, choćby prymitywne schrony, by ratować, wychowując podstawową wartość Państwa: młodzież.

2) W naszych warunkach gospodarczych wątpić należy, by korzyść młodzieży przyniósł komfort w urządzeniu zakładów, skoro po ich opuszczeniu musi młodzież w twardych warunkach życiowych wywalczać sobie prawo do pracy, a co zatem idzie i do życia.



Pawlikowice. Wiosenne skrapianie drzew.

Hart życia zakładowego, byle tylko nie uszkodził zdrowia fizycznego, w przyszłej walce życiowej wychowanka będzie mu sprzymierzeńcem.

Tego rodzaju zasady myślenia dają w praktyce możność szerszego zapobiegania biedzie, czyli innemi słowy dają możność przyjęcia i wychowania większej ilości opuszczonych chłopców.

A ratować trzeba, o ile możności, największą ilość opuszczonej młodzieży.

Czasem praktyka życia zakładowego spotyka się z takiemi faktami, że razem ze sercem współczującem muszą się i mury zakładu automatycznie rozszerzyć.

Oto przykład: Pod zakład wychowawczy w Pawlikowicach przyprowadza bezrobotny ojciec trzech nieletnich synków, obdartych, zbiedzonych i w dodatku chorych, a jako kapitał przy pożegnaniu wskazuje im kierunek Zakładu.

Ojciec znika, zapewne uwa-

ża, że, gdy dzieci znąjdą się same, nędza ich przemówi silniej i przyjęcie nastąpi łatwiej.

I nastąpiło... i następować musi w każdym podobnym wypadku.

Słusznem przeto jest, by warunki życia chłopców w Zakładzie mierzyć także miarą tych warunków życiowych, jakie miał chłopiec, gdy był opuszczony.

Pod koniec swych spostrzeżeń, jakie nawinęły mi się, przy poznawaniu zakładu ks. Markiewicza w Pawlikowicach oraz życia w nim chłopców, dochodzę do wniosku, że każdy zwiedzający, czy poznający bliżej życie zakładów musi szukać wartości w samych wychowankach.

Praca to trudniejsza niż zwiedzenie murów i terenu zakładów, praca, ciągnę dalej, mozolniejsza, wymagająca mądrzejszej i czynniejszej postawy zwiedzającego.

Trzeba tu bowiem sięgnąć do duszy wychowanka, jego charakteru, trzeba przypatrzeć się, czy zakład przygotowuje go do roli życiowej, czy daje mu celowy, z punktu widzenia gospodarczego, zawód, czy w tym zawodzie chce go uczynić specjalistą.

Jak zakłady ks. Markiewicza realizują to swoje istotne zadanie, o tem będę pisał w następnym obrazku z „naszego życia“.

Kazimierz Zieliński.

Dwie łzy.

Opowiadanie.

Puszczać! pókim dobry.

— Nie pójdziesz na taką pomstę.

Na środku izby stała kobieta, o dobrotliwej twarzy, oczach dużych, bolesnych, wskazując na okno, za którem szumiała ulewa, rozdzierając co chwilę czarną ścianę nocy oślepiającemi gzygzakami.

— Zostań, kto wie co się stać może.... pójdziesz, a ja sama jedna...

Przy stole ubierał się w pośpiechu dorosły młodzian.

— Kwasił się tu nie będę — burknął, odstawiając lusterko z rozmachem.

— Taniec, w Zielone Świątki... w taką szarugę.



— Przeklęte życie!

— Nie gadać — krzyknął, idąc do skrzyni po marynarkę.

— Co robisz? nie idź; z rozpaczliwą odwagą stanęła między nim, a skrzynią.

— Na bok do choroby. Chciał ją popchnąć, ale ona w tej chwili, szybko zwinąwszy leżącą na skrzyni marynarkę pod ramię, ustępowała przed nim ku ścianie, wyciągając suche ręce jako naturalną osłonę. Wzrokiem błagała litości.

W jego czarnych oczach rozpalił się zły błysk, na usta skrzywione wybiegło:

— O... cię! jak się uwzięła. Porwał jej dłonie w swe silne ręce, wyrwała je jednak szybko.

Uchwycił drugi raz i wykręcił silnie. Straszny ból.

Wyszarpnął swoją bluzę.

Marynarka, trzymana w rękach zwycięzcy, była zmięta i zabielona. W nieludzkiej twarzy odbiła się wściekłość, dopadł do półki i pełne garnki mleka, miski i łyżki ciskał na środek chałupy.

— O... O... OOO... kopał nogami skorupy, strzaskał lusterko, dwa mirty w doniczkach, rozlał wodę z wiadra, wysypał z kosza ziemniaki, przeszedł jak tajfun nad grzędą, łóżkiem, skrzyńmi; poczem zapalił nad lampką papierosa, porwał czapkę, zaklął szpetnie i wypadł z mieszkania.

Na dworze tymczasem szalała burza, deszcz, a pioruny ognistemi nitkami wiązały wylękłą w niemocie ziemię z czarnym dachem nieba.

Marcinowa podniosła się z kąta, pochyliła nad pobojowiskiem i drżącemi rękoma poczęła na łopatę zbierać skorupy.

— Boże mój, Boże, prośby i groźby nic mu nie pomogą...

Teraz z pod ławki wylazł czarny, duży pies i, kłapiąc językiem, zlizywał roziane szeroko po podłodze bajorko śmietany.

* * *

Usiadł na pniaku, plecy oparłszy o ścianę domu.

Zgrzany był, niewyspany, nogi mu drżały... w głowie szum.

— ...Przeklęte życie...

Powracała świadomość wieczornej awantury — całotygodniowy składek śmietany wylany, machorki nie będzie za co kazać kupić, miski pobite, stara posiniaczona... przed ludźmi go nie wyda, dyć nigdy go dotąd nie wydała...

Z zagaty zsunął się Kruczek, wspiął na łapy i, merdając ogonem, lizał mu twarz językiem.

— Poszedł won, zdzielił go w łeb. Zdawało mu się, że zwierzę to lepsze jest od niego.

Psina, skomląc zwinął się mu do nóg.

Cóż mi zawinił?.. lii nic... wszystko go tylko drażniło, — nie cieszyło życie. Hej, jakie tam życie inne jak dawniej. Tyle już lat... dawno we wsi wyśmiali się z niego, wyszydzili za ostatniego uznali, palcami go pokazują... kilka lat nie był u spowiedzi, w kościele...

Gdzieś nad lasem odezwał się kulik.

— Będzie dniało.... haaa.... splunął na ziemię, wstał, przedostał się do komory i, nie rozbierając się nawet, rzucił się na przygotowane przez dobrą rękę łóżko.

Z klęczek tymczasem w pierwszej izbie podniosła się średniego wzrostu postać. Księżyc przerzucił się w drugie okno, od południa, zeszedł już dawno z podłogi, prześlizgnął się po ścianie i wąskim zaledwie pasemkiem czepiał się sufitu.

Na wschodzie blakło już niebo.

długi cień na twarz zmęczoną Przynajmniej we śnie nie odwracał się od niej.

Zdjęła mu lekko czapkę, zwisające za krawędzią nogi ułożyła na łóżku, otarła dłonią włosy... Toć dziecko... stanęły jej w myśli wszystkie cierpienia dla niego ponoszone od mała aż dotąd...



Mamo, wykrztusił i głos mu zamarł w gardle

Przeżegnała się, kończąc zdrowaśkę i, chcąc sprawdzić, czy syna jeszcze niema, stanęła w komorze.

Jest.

Zdawało się, że śpi — pochyliła się nad nim. — Usta miał lekko rozchylone, przymknięte powieki, od których w świetle księżyca kładł się

Ból gorzki chwycił ją za gardło, skamieniała w postawie schylonej i nie mogła powstrzymać się od łez, co gwałtem cisnęły się jej do oczu. Wyciągnęła rękę, by uczynić znak krzyża nad czołem, gdy w tem dwie łzy grube oderwały się od jej rzęs, zaszkliły w poświacie księżyca, jak dwa pe-

reł zaklętych ziarenka i upadły mu na twarz.

Ciężkie wielkie łzy matki.

A on nie spał przecież. Czuł jak się schylała nad nim, słyszał wyraźnie jej oddech. — I teraz odeszła cicho, jakby w obawie, by nie zbudzić potwora w nim drzemiącego. Odeszła...

Może co noc tu przychodziła... i łzami skrapiała jego łóżko.... może one go jeszcze tylko strzegły na ziemi... cenne, święte łzy. Nawał uczuć, obrazów i przypuszczeń cisnął się mu naraz do głowy. — Takie życie..., ileż razy sprzeklinał swoją matkę, zwyzywał, popchnął, sponiewierał, nogami skopał i za co!.. Wstyd go zalewał. Nie mógł rana doczekać.

Te łzy go piekły jak węgle...

...Pierwsze brzaski dnia wpadły poprzez okno. Wstał, przygarnął zmierzwione nad czołem włosy i przez alkowę zajrzał do pierwszej izby.

Nie było nikogo. Od pieca trzaskały palące się gałązki, na kominie para buchała z garnków, warzyło się śniadanie.

W tej chwili weszła z sieni, dźwigając skopek mleka i wiązkę suchego chróstu, matka. Za nią wpadł Kruk i, obwąchawszy dokładnie komin, ułożył się u proga, — na ławce spała kotka, w dużej słomiance drzemała wysiadująca jaja kwoka.

Marcinowa zajęta była cedzeniem, gdy on, roztwarłszy drzwi, podszedł i, schylając się, chciał sięgnąć po jej rękę.

Mamo... wykrztusił i głos mu zamarł w gardle, niech mama mi daruje wszystko.

Szybko drżącemi rękami ustawiła garnek. — Dzisiaj nad ranem mama płakała nademną... od dziś staję się innym, przyrzekam, dotrzymam.

Coś jej ścisnęło serce.

Od tej postaci, od słów prostych, tak dawno upragnionych, biła prawda, już dłużej nie wątpiła. W jej słabe, skołatane serce weszła radość, siła, że jej się niczem wydały lata cierpień zniesione dla swego dziecka, że cieszyła się z niego, lat swej udręki niepomna.

— Synku mój!..

Złożyła mu ręce na głowie, brała ją potem w objęcia i ogorzałą twarz jego do piersi tuliła. Nacieszyć się nim nie mogła...

W jej oczach łzami nabiegłych było takie przebaczenie, jakiego tylko matka udzielić może...

Na niebie wschodziło słońce, jasne, złote, wiosenne.

Br. Jan Lecyk.

Wywiad z p. Czekajem.

Doniesiono, iż „Nasze Życie", staje się najpopularniejszem pismem świata. Na ulicach Krakowa czyni wprost brawurę, pierwszy numer doszczętnie rozchwytano (tylko nie płacono!). W Krakowie dochodziło do walk ulicznych o „Nasze Życie". Ruch uliczny wstrzymany! Stan nadzwyczajny ogłoszony, po ulicach zdwojone patrole!

— — — — — ----
— — — — — ----

Generalny minister spraw wewnętrznych w Abisynji Miau—Miau, wręczając poranną pocztę oraz dziennik dostojnemu monarsze Hajle—Szalasie, spotyka się z grymasem: Kurjer? Znany!! Tempo Dnia?! Nudne! Dzwon Niedzielny? Za poważny!!!

— Wasza Cesarska Mość! — Mamy pismo nieznane dotąd! Ładna pismo, zajmująca pismo.

— No jakież? przerywa z niepokojem Cesarz.

— „Nasze Życie"!!!

Jego Cesarska Mość nagłym tygrysim ruchem wyrywa ministrowi pismo.

— Jestem oczarowany! Panie ministrze, wysłać mi natychmiast abonament do Pawlikowic i to na 20 lat z góry!!

— — — — — -----
— — — — — -----

Wskutek takiego nadspodziewanego obrotu sprawy — postanowiłem udać się do p. Czekaja, celem podania do „Naszego Życia" interesującego wywiadu.

Oczywiście muszę wpierw zapoznać Szan. Czytelników z p. Czekajem. Kto on zacz, gdzie mieszka, jak pracuje, jakie jego pochodzenie, zalety, zamiłowania i t. d.

Otóż jestto stary, poczciwy mieszkaniec zakładu, ot taki szary dzisiejszy człowiek (ale serce ma zgoła ze złota). Ongiś złożył na budowę zakładu parę tysięcy — jeszcze za lepszych czasów.

Gdzie się urodził? Niechaj klękają narody! Urodził się ni mniej ni więcej, tylko w stołecznem królewskiem mieście Rybnej! To mówi za siebie...

Do szkoły chodził za panią matką i uczył się gładko — mimo to stale powiększa zapas wiadomości, odczytując wszystkie stuletnie kalendarze i gazety i to począwszy od intytulacyj aż do ogłoszeń.

Przeto, jego pokój obok Szkoły Rzeźbiarstwa Krajowego (czytaj Kartoflarni), stał się głównym ośrodkiem intryg politycznych, dyplomatycznych, pedagogji i wszech nauk. Pospolicie nosi nazwę „Agencja Dziadka Werbla".

Ciekawa rzecz, jak dziwnie ta postać przypomina mi Sokratesa, ilekroć widzę go poważnie kroczącego po kurytarzu, mimowoli szepcze: Ecce Sokrates!!

I po sposobie indagacji przystępnej i miłej, jakoteż po dziwnym darze przyciągania ludzi, a nawet po sposobie wycierania nosa rękawem, można na ślepo orzec: oto nowoczesny Sokrates (nie czytaj Srokates!).



Jest zupełnie podobny do Sokratesa, tylko, że ten ostatni nie był kulawy. Jest nam więc znany już p. Czekaj: tworzy dzieła, pisze wiersze, każdego poucza, chętnie, skutecznie i bezpłatnie! (to grunt).

— — — — — ——

Uzbrajam się więc w sporą dozę cierpliwości i przyjemnej miny... podążam do „Agencji Werbla".

— Pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków! a, prose prose!

Wita mię zawsze uśmiechnięty i miły staruszek.

— Wiecie co Dziadku, chciałem zamieścić w formie wywiadu kilka wiadomości w „Naszem Życiu". Po nawiązaniu rozmowy o pogodzie, o kapryśnej wiośnie, zapytuję w tonie zainteresowania najgłębszego:

— Jakżeż tam zdróweczko, powodzenie?

— Prosę pana! Ze zdrowiem to coś nie dobrze. Cosik mi sie na łocy zrobiło, co nie moge patrzyć. Zdaje sie, ze to zur na śniadanie tak mi skodzi. Bo nawet mojij krzesnyj matki ujek, a jego swok, to o mało nie dostoł kurzej ślepoty od zuru...

— Ciekawe, no! no!... — przerywam te osobiste i rodzinne wynurzenia, a trzeba przyznać, że Dziadek ma płynną wymowę i trudną do zahamowania.

— A jakże tam wiadomości z frontu? pytam znów.

Prose panocka, Ponbóg ciężko doświadcco ten bidny noród abisyński. Coraz to gorzy śnimi. Ale ten huncwot Mussolini jak sie tyż Boga nie boi! To un ze Rzymu od Namiestnika Chrystusowego pojechoł do cudzej łojcyzny i tam wszyćko morduje, bombuje i przewroco do góry nogami. To i staro babka tyzby tak potrefiła — siadłaby se na samolot — zbombowała, zbombowała i uciekła...

Mussolini krzycy ze Abisyńcyki łby łodżynają zabitym Włochom. A ktoz ich tam wołoł? Dobrze im tak! No niechta wojują, ale niech patrzą końca, zeby Ponbóg śnimi nie zrobił wojny.

Ło ten Mussolini! Łojca św. osukuje, ze sie wnet pogodzi z Negusem, a tu ani spać ni może z chytrości i chciwości. Poco im te Afryki i Abisynje, namęcą się, namordują i do tego lada chwila jaki im murzyn łozpruje brzuch i jeszcze łeb wbije na kij i obnosił bedzie po Adijsbabie...

— A jak się podoba Hitler Dziadkowi? przerywam z rosnącem zainteresowaniem.

— Ano un ta nie nogorszy — bo ta tych pejsoków powyganiol, tolmudy sfalsowane popolił. Un nie jest zły, bo nie pochodzi od Krzyzoków, ale jest Austryjok i pamięto o Sobieskim. Albo teroz, wszyćkie państwa sankcyje robili, robili — a Hitler se wloz do Nadrenji i zrobił najlepsą sankcyją.

Dziadek skończył i mocno się zadumał. Może coś napisze kiedyś osobiście do „Naszego Życia" jako „Dziadek-polityk".

H. Harańczyk.

Komunikat harcerski.

Praca w naszej drużynie żywo tętni. Orły, Żbiki, Lisy i Kowale przygotowują się do próby na młodzika oraz do przyrzeczenia harcerskiego, które ma odbyć się 3-go maja.

Dotychczas odbyliśmy cztery zbiórki drużyny i kilka zbiórek poszczególnych zastępów. Zbiórki spajają druhów w jedną całość, starającą się żyć wedle prawa harcerskiego.

Dawne śpiochy, które należą obecnie do drużyny, na odgłos dzwonka, zrywają się na równe nogi. Ci, którzy dawniej myli koniec nosa, myją się obecnie do pasa. Harcerze, kładąc się spać, żegnają się pozdrowieniem harcerskiem: Czuwaj!, co spoczątku wywoływało powszechny śmiech w sypialni.

A i jeden z młodszych harcerzy, nie rozumiejąc co to „czuwaj" ma oznaczać, gdy go druh pozdrowił, kładąc się w najlepsze do łóżka, odrzekł: Patrzcie jaki mądry, sam kładzie się spać, a mnie każe czuwać — „ochol niema głupich" i czemprędzej położył się do łóżka.

Czuwaj!
„Szpon"



KRONIKA
ZAKŁADÓW TOW. „POWŚCIĄGLIWOŚĆ I PRACA"

Pawlikowice.

Jak zaczynać? co napisać? — Chwycił mnie Szan. Redaktor — i pisz bracie kronikę. Zadrżałem jak Hitler na wspomnienie Locarna i sankcji wojskowej — cóż jednak robić. Redaktor wydał rozkaz — trzeba się nieraz zdobyć na bohaterstwo — jak mawiali „wielcy ludzie", gdy obniżali cenę cukru — i w każdym bądź razie coś napisać. Ale co? chyba o wiośnie, która już wszechwładnie panuje u nas w Pawlikowicach, nietylko na polach, ale i w sercu każdego z nas. Z ochotą więc pracujemy, poza czasem szkolnym, przy robotach ogrodowych — a mały „Adaś ze Lwłowi" naśladuje cudownie naszego mistrza Kiepurę, wykrzykując swoje trele: „wiśta — heta — wio-o-o" przy orce, jak to widzimy na fotografji czołowej.

Wiosna ... wio ... wio ... sna świergoce skrzydlata armja, odbywająca swoje manewry wiosenne w parku pawlikowickim — a i my będziemy wnet mogli wykrzykiwać wiosna... wiosna — jednak to wiosna powtórnej „czwóreczki" inaczej „lufy", gdyż konferencja kwartalna wisi już nad nami jak „miecz Damoklesa". Żeby więc tej „wiośnianej lufy" uniknąć, musimy uczciwie i rzetelnie obsługiwać i przeprosić się z łamami szkolnemi, bo i ks. dyrektor szkoły coraz chmurniejszy chodzi i wzrokiem iście „napoleońskim" lustruje lekcje przygotowawcze, u nas powszechnie zwane: „studjum".

Nawet i na naszego Redaktora podziałała wiosna. Ogólne pewno będzie zdziwienie. Jakto? wiosna na Redaktora?... Tak! gdyż Redaktor wyciągnął z kąta i odkurzył swoje „cenne i przedwojenne pudło", które nawiasem mówiąc okazało się bardzo dobrym aparatem fotograficznym, i z zapałem podpatruje i zdejmuje różne sceny z naszego życia zakładowego, za co jesteśmy mu nieskończenie wdzięczni, gdyż nasze „gębusie" staną się wkrótce znane i zpewnością sławne w całej Polsce...

Muszę zaznaczyć, że 19 marca w dzień poświęcony św. Józefowi, nie było, ku wielkiej uciesze naszych najmłodszych kolegów — nauki szkolnej. Cały dzień spędziliśmy w poważnym nastroju, mając na uwadze, że jest to dzień imienin śp. I-go Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego. Z głębin naszych serc, wyrywała się serdeczna modlitwa za spokój duszy, naszego drogiego Wodza.

Zdobyłem się na nielada wysiłek — ale już kończę, gdyż i mnie poniosłaby „fantazja wiosenna" i zacząłbym wkońcu pisać, delikatnie mówiąc „od rzeczy" czyli „głupstwa wiosenne" — które Szanowny Redaktor gotów wrzucić do historycznego ... koszyka redaktorskiego, co dla żadnego szanującego się pisarza nie jest rzeczą przyjemną.

Kronikarz.

Poprawka kroniki Pawlikowickiej.

Jestem oczarowany powyższą kroniką, ale... jedno jest nie do darowania: jak można pominąć tyle ważnych rzeczy.

Proszę sobie wyobrazić Szan. Czytelnicy, co za brak patrjotyzmu, to jest wprost skandal, takie niezrozumienie sprawy. Powiększył się nasz majątek narodowy, bilans wzrasta a nasz kronikarz nie raczył tego nawet zauważyć!! O tempora! o mores!!

Mianowicie, w zakładzie inwentarz żywy wzrósł o jednego sympatycznego źróbka. „Witaj pięknonogi ulubieńcze Zeusa — ślę ci pozdrowienie!"

— Dobrze, dobrze, ale cóż ma źróbek do majątku narodowego?

— Co? Jeszcze są wątpliwości? Czyz nie wiesz Szan. kronikarzu, że dzisiaj czas wojenny, że każdy nowy koń, to skarb narodowy? A skąd wiesz, czy nasz źróbek nie będzie miał zaszczytu, ponieść na zwycięstwo i nieśmiertelne boje samego wodza naczelnego (Rydza Śmigłego).

— — — — — — — —

Albo znów, taki niedopuszczalny brak zainteresowania się lecznictwem — też poważny grzech kronikarza!

Otóż jedna z poważniejszych person naszej nierogacizny, nie dalej jak wczoraj, zakaszlała. Spostrzegłszy to p. gospodarz, pogrążył się w myślach:

— „Musi być w tem jakaś głębsza przyczyna, widocznie zjadła coś niedobrego..."

Szybko jak młody źróbek pobiegł p. gospodarz po proszek fijakierski — który działa pewnie i skutecznie na wszystkie dolegliwości wewnętrzne i zewnętrzne. I rzeczywiście, skutek był nadzwyczajny... (Brawo p. gospodarzu!!)

— — — — — — — —

Pominąłeś kronikarzu jaki skutek wywarła wiosna na naszych chłopców! — Chłopcy jak odmłodzeni... roześmiani... słoneczni...

Aż miło patrzeć! (Kto nie wierzy może przyjechać zobaczyć, na 3 maja). Cały dzień grają w piłkę, (z małemi przerwami na naukę i pracę) ćwiczą skoki sokolskie i inne figury, a propos piłki nożnej, to najlepiej gra Z..., nie mogę się wprost nadziwić, ile sprytu mają jego nogi — a przecież z łaciną u niego dość krucho... Nie wiem, ale chyba jego nogi są mądrzejsze od głowy. Inny znów gracz K... zawsze zamyka oczy jak piłka leci. (Jak może kopać?) Do meczu ubiera sobie koszulkę sportową, w pasy, ale co za kolory... podobnych nie zobaczyłbyś nigdzie, chyba na naczelnym czarowniku szczepu Bim-Bam w Abisynji.

— — — — — — — —

U nas teraz wiosna, (czy u was też?) wszędzie tak ładnie... Naprzykład tej nocy śpię, śpię śpię... okno otwarte... księżyc świeci i śmeje się do mnie, ja zdaje się też...

A tu nagle budzi mię przeciągły, długi krzyk, a raczej płacz, co to może być?

Głos był mi znajomy. Ale nic! słucham, możem się przesłyszał... Znów ten sam krzyk, ale już pod samym oknem. Och! myślałem, że umrę ze strachu... Już jestem pewny, to jeden ze stróży!

Nagłym, kocim ruchem rzucam się ku oknu i krzyczę: „Gurbisz co ci jest?"

Ledwiem skończył, a tu 2 koty (może były 2 metry wysokie, żebym nie skłamał) zeskoczyły z tapetu i pognały do parku jak zwarjowane... Ale com się strachu najadł...

Do zobaczenia *Wszędziebył.*

Kraków.

Piękna pogoda dni marcowych pozwoliła nam na nowo ożywić nasz sport. —

Długośmy czekali na osuszenie naszego boiska, ku wielkiej radości pierwsze dni marca tego dokonały.— Nagle wydano rozkaz, abyśmy na ochotników zgłosili się do uporządkowania podwórza. — Wszyscy stanęli, uzbrojeni w narzędzia konieczne do tej czynności, jak: grabie, miotły, taczki, łopaty, nawet najmniejsi: Staszek, Leszek i Kazek brali za miotły.— Nic dziwnego, że w kilku godzinach

mieliśmy boisko już gotowe. — Zaczęły się więc próbne wyścigi, skoki za papierowemi samolotami i tp. zabawy. Brakowało nam piłki. — Zeszłoroczna tak się strasznie zestarzała, że rysy starości wzbudzają w każdym litość, kto się do niej zbliża. Przeto uchwałą wszystkich otrzymała emeryturę.

Wysłano delegację do Ks. Dyrektora z prośbą, aby raczył nam łaskawie kupić nową, co też bezzwłocznie uczynił. I kupiono piłkę nową do siatkówki, a starą koleżankę emerytowanej naprawiliśmy tak, że mamy dwie. — Wieść o piłkach rozeszła się lotem błyskawicy po całym Zakładzie. — Wszyscy gremjalnie zbierali się przed prefekturą, aby zobaczyć te przedmioty, służące do miłych zabaw letnich.

Wreszcie pokazano nam piękną piłkę bronzową, i mniejszą koloru ciemno żółtego, które oklaskami i okrzykami podejmowaliśmy. — Zadziwiliśmy się, zobaczywszy na placu już wkopane słupy do siatki, bo rankiem tegoż dnia t.j. 4. III. jeszcze nic nie było przygotowane. — Nasze Zuchy pośpieszyli po siatkę do księży kleryków, poczem umocowali ją. — Jednogłośnie uchwalili wszyscy, że w piłkę nożną będziemy grali tylko na błoniach, w domu zaś „we dwa ognie" w piłkę siatkową, czarnego murzyna i palanta, które to gry zostały zatwierdzone przez starszych. — Zaczęły się wybory do siatkówki, każdy zajął miejsce wyznaczone przez przewodniczącego tj. sędziego tej gry. — Mamy szczęście, że powołano na to stanowisko człowieka o wybitnych zdolnościach w tym kierunku. — Grę więc w piłkę siatkową rozpoczęliśmy na dobre. — Mniejsi z naszego zakładu wybierają się do innego rodzaju gry, a mianowicie do „dwu ogni" i z pełnym zapałem rozpoczęli wzajemnie się zbijać, Staś i Jasiu, już rozpaleni, zdejmują bluzeczki, aby swobodniej i pewniej się bronić. Pozostało tylko trzech, którzy na uboczu, uznani za słabych i małych, sami się pocieszają i naradzają, do jakiego rodzaju zabawy należałoby się przyłączyć.

Leszek i Staś stracili zupełnie zaufanie do gry! „we dwa ognie". Kazek żywi jeszcze nadzieję. — Ponieważ zaś szanuje przyjaźń dwóch najmniejszych swych towarzyszy, przeto zrezygnował z tej zabawy i zaciągnął się do ich dysputy. — Zaczęły się więc zwykłe opowiadania historji z przeżyć własnych Leszka. — Starym zwyczajem zaczął on swą mowę o wyprawach w góry, jako zakopiańczyk, o snach, i kąpielach w Morskiem Oku, o półgodzinnych manewrach pod wodą i t. p. Skończył wreszcie, wychwalając odwagę i męstwo swych kolegów górali, jak Staszka Marusarza i Karpiela, których bardzo dobrze zna. — Najmniejszy Staś urywanemi zdaniami wpatrzony w paznokcie swych palców grubości zapałek, mówił poważnie o wyścigach kóz w swej rodzinnej wiosce, i muszych wiosennych skokach.

Kazik, nic nie mówiąc, dał do zrozumienia swym towarzyszom, że te rozmowy go nudzą, wyciąga piłkę z kieszeni i zaprasza ich do gry w podawankę w rogu podwórza. — Cel rekreacji już osiągnięty, wszyscy zgodnie i wesoło się bawią; Ks. Dyrektor z zadowoleniem patrzy na swe dzieci i podziwia ich spryt w tychże zabawach. — Każdego dnia to małe podwórko jest zapełnione bawiącymi się. — Sąsiedzi wychodzą na ganki, aby napatrzeć się na „zgraję wesołych malców" jak ich nazywają. — Są wypadki, że rekreację się przedłuża (jeżeli chłopcy mają odrobione lekcje) wtenczas dwie do trzech go-

dzin spędzamy na powietrzu.

Pod kierownictwem swego moderatora zabaw zawsze jesteśmy gotowi obrać lub zmienić zabawę, stosownie do jego porad. — Jemu też przedstawiamy trudności, na które na tem polu natrafiamy. Nasi koledzy z Pawlikowic, czy też z Miejsca Piastowego, znają dobrze nasze boisko, i te nieszczęsne parkany, przez które często piłka nam ucieka wskutek silniejszego uderzenia. — Mamy zamiar dać siatkę drucianą powyżej parkanu, tylko że to zbyt kosztowna rzecz, a pieniędzy w kasie zawsze brak. —

Naszym kolegom w Pawlikowicach i Miejscu Piastowem zazdrościmy boisk. — Ciekawi jesteśmy tylko jak się sport rozwija u was? My już myślimy poważnie o zabawach na błoniach krakowskich, bo trawka tamże już się zieleni.

Mamy obiecane mecze z klubem „Młodych" z bursy Ks. Kuznowicza, te ligowe występy mają się odbyć na boisku „Juwenia", zapisani już jesteśmy jako uczestniczy zabaw letnich na tem boisku. — Zaś nasze K.S.M.P. w swej kasie ma kilka złotych zaoszczędzonych, przeto w najbliższych dniach kupimy piłkę nożną normalnej wielkości. — Składamy do tej małej kasy po 2 i 5 groszy, jak kogo stać, kupiliśmy już szachy, chińczyka, które to gry są własnością K.S.M P. Mamy radjo 3 lampowe, które jest atrakcją w naszem życiu zakładowem, chętnie słuchamy nabożeństw niedzielnych, odczytów, pogawędek, koncertów z płyt gramofonowych, i od czasu do czasu miłej lwowskiej fali. — Całość ta odradza nas, dodaje nam otuchy i zapału do pracy, tak w szkole, jak i w Zakładzie. Sądzimy wszyscy, że wesoło będzie nam upływał czas wiosny i lata, bo pierwsze dni, niczem nie zamącone, rozpoczęliśmy.

Dnia 19. III. Zakład św. Józefa obchodził doroczną uroczystość swego Patrona i Opiekuna, oraz drugą imieniny Czcigodnego Księdza Józefa Machały, Dyrektora tegoż Zakładu.

W dniu tym w czasie solennej Mszy św. prawie wszyscy domownicy i większość obecnych przystąpiła do Komunji św. w intencji Solenizanta. Około godziny 12 przy obiedzie, złożono Czcigodnemu Księdzu Solenizantowi życzenia. Kl. Mendyka i kl. Wyrębski, prefekt Zakładu w pięknych i pełnych wdzięczności, uznania i synowskiego oddania słowach przedstawili zasługi i owoce gorliwej pracy Jego nietylko na terenie Zakładu, lecz i miasta Krakowa. A nie brakło też i delegata z Koła Byłych Wychowanków, Z. Sękowskiego, który w podniosłych słowach złożył należne życzenia. O godzinie 5-tej odbyła się akademja, przy licznym udziale ku czci św. Józefa, Patrona i Opiekuna Zakładu. Referat pt. „Idźcie do Józefa" wygłosił kl. Przybylski.

Tak minął dzień najpiękniejszych z pośród dni w roku, a wrażenia odniesione z uroczystości pozostaną na długo w duszach wychowanków i i Czcigodnych Dobrodziejów i Gości.

Kronikarz.

Lwów.

Nasłuchałem się wiele o Lwowie i Lwowiakach i stale ciągnęło mię zwiedzić gród Lwa, zetknąć się z jego ludźmi, ale co robić, skoro pech badał stopień mej ciekawości. Nareszcie! Widocznie próba się skończyła i znalazłem się na ulicach Lwowa. Znagła przypomniałem sobie powiedzieć: „Swój do swego..." więc bez namysłu prosto walę na „Sapiehę", do swoich w Zakładzie. Zakład lwowski to najmłodsze dziecko Michaelitów.

Nareszcie jestem u jego furty. Dzwonię. Otwierają się drzwi, a



Wychowankowie Zakł. we Lwowie.

w nich ukazuje się reześmiana twarz chłopca. A ujrzawszy marsa mej twarzy ucieka jak spłoszony ptak, krzycząc na głos: „jakiś ksiądz, z Miejsca przyjechał...“

Pędem lecąc po schodach, znika w korytarzu. Zmęczony ostatniemi wrażeniami, z walizką w ręku idę do góry po schodach — zdala dolatują mię chłopięce głosy.

Tosiek ta joj... z Miejsca Piastowego.

To fajno, Franek może to ksiądz Redaktor, który obiecał, że, jak przyjedzie do Lwowa, pójdziemy na mecz.

— — — — — — — — —

...Po serdecznem przywitaniu się z p. Dyrektorem, dowiedziałem się ku ogólnemu memu rozczarowaniu, że tylko kilku chłopców znajduje się w domu, gdyż reszta na czele z asystentem przebywa na kolonji pod Lwowem.

Ale to nic nie szkodzi — mówi p. Dyrektor — jutro jadę do nich, więc można będzie mi towarzyszyć. Moi chłopcy bardzo się ucieszą.

Czy się ucieszą? — myślę — wątpię.

Ale jadę. Pociąg jak wąż kręci się wśród jarów, pokrytych zielenią i złotem zbóż. Baryczów! — rozległ się głos konduktora i zziajany potwór przestał sapać. Wysiadamy. Kilka kilometrów ze stacyjki do miejsca przeznaczenia idziemy pieszo. Słońce chyli się ku zachodowi, na polach praca wre, brzęk kos i sierpów zlewa się z melancholijnemi piosenkami dziewcząt. Zdala dolatuje woń lip i aromat świerków. Rozmowa i nastrój nadchodzącego wieczoru skracają nam dość długą drogę. Z błogiego nastroju wyrywają mnie piskliwe głosy, rzucam wzrok naprzód, kilkunastu chłopców biegnie ku nam. Przyspieszamy kroku.

Nareszcie... Ta joj... ta joj... p. dyrektor miał do nas wczoraj przyjechać. A co p. Dyrektor nam kupił? Jutro gramy mecz z Jaryczowem. — Jak lawina posypała się masa pytań i wymówek. Pan Dyrektor każdego gładzi po płowej czuprynie i uspokaja.

Dziecięce oczy mierzyły mnie od stóp do głowy i naodwrót. Z niejednej twarzy czytałem pytanie: Czy ksiądz może z Miejsca?... Ale nieśmiałość zamykała im usta.

Jesteśmy na miejscu. Wita nas p. asystent z resztą mieszkańców kolonji. Krzyk, pisk, pytanie i wymówki, a nadtem góruje to słodkie „Ta joj“, tworząc akord chłopięcych uczuć.

Atmosfera kolonji jest rodzinna. Zadowolenie i radość malują się na twarzach chłopięcych. Na drugi dzień byliśmy wszyscy na sumie w Jaryczowie, gdzie chór lwowskich Antków pod batutą p. asystenta odśpiewał szereg dobrze wypracowanych pieśni. Po powrocie do domu chłopcy zajęli się sobą. W tym dniu czekał ich mecz piłki nożnej z Jaryczowem, układali skład, zachowując się tak wesoło, jak gdyby zwycięstwo mieli już, w

kieszeni. Sprawą tą przejęci byli do głębi.

Staszek wiesz co?...

Najlepiej będzie jak Tosiek i Franek pójdą do ataku, a Edek na bramkę. Ta joj. — Franek musi być na obronie, to wtedy będzie fajnie.

— — — — — — — — —

Chłopcy pomimo, że są dziećmi ulicy, jednak są karni, posłuszni i dziwnie uprzejmi.

Tam poraz pierwszy ma dusza i serce wypowiedziały swe credo wychowawcze.

Odjazd. — Trudno było, rozstać się z tą grupą roześmianych twarzyczek. Liczne pozdrowienia i szereg zapytań czyniły brawurę. Wsiadamy wreszcie z p. dyrektorem do żydowskiego „wózka", ciągnionego przez konie tak chude, że w każdej chwili zachodzi obawa, że się wywrócą. Krzyki dziecięce cichną... a dusza zmęczona zapada w półsen...

Na polach wre praca, słońce uśmiecha się, jak usta chłopca, które za chwilę powiedzą. Ta joj..! ta joj..

Włast.

Miejsce Piastowe.

Kochano Ciotecko!

Niek bedzie pochwolony! Bardzom sie uciesyłześ do mnie napisała, bo mi się już ckniło i nijako ni mógem sie pociesyć. Pytos mi się jak mi się powodzi w zakładzie i kces, zebym Ci wsyściutko łopisoł, co kiele mnie się dzieje. To tez Ci i łopisuję. W tyncos, jagżem tutok przyjechoł, to było kiejby na wiesnę — a była to niedziela. W zakładzie urzondzali jakosik tam jakademiją, bo kcieli ućcić — jagzem sie dowiedzioł, Ks.Markiewica, który to ten zakład założył; tozem i pokochoł tego księdza, bo jakby nie on, tobym moze dziś dalej głód cirpioł. Jak zaśpiwali jedną piosenkę, co sie zacyno „W mogile ciemnej", tomsie as rozpłakoł, bo mi się przypomniało jak mi to matecka umirała, zostawując mnie sirotą i bez chleba. Za kilka dni łod mego przyjazdu (7 lutego zacon padać śnig, to i duzo go napadało, a (10 lutego) w poniedziałek to mróz naroz chwyciuł taki silny, comi i pod nosem chciało zamarznoć, jeno zem se nie pozwoluł. Tutok mówiom, ze je minus 21 stopni Cylzusa. No ale mi się też i zimno zrobieło, bo nie mom jesce ciepłygo ubranio i nima zacoby kupić, to mi i taka zło myśl przysła na tych panów, co to nie wiedzo co śpiniodzmi robić, tyle ich mają, a nom sierotom to nie kcom dać, alem się za nich pomodlef, coby ich Bóg natchnoł. Jest tutok ładny nowy kościół, tylko ze w środku taki goły, bo nima za co wykończyć; było tu zimno i pocirze to se łodmówiomy w kaplicy, gdzie, jak mi mówieł ksiądz, dawniej jak nie beło kościoła, odprawiano nabożeństwo. — W tej izbie, gdzie sypiowa, to casem jest zimno, ale chłopoki tu se z tego nic nie robią, w dzień jak im zimno, to idą sie wozić na saniach, a w niedzielę 12 lutego to cała gromada posła jeździć na nartach razem z panem, jak go zowią, jasystentem.

Niedziele to sie i wesoło spyndzo, bo zawse tam jakieś jakademje, zebranio lub przedstawienia cłeka rozweselają. Sesnostego lutego naprzykłod było przydstawienie, co się zwie „Miescanin ślachcicem" jakiegoś tam Moliera. Tom się i naśmioł duzo na tym przydstawieniu, bo było śmisne i wzina mnie łochota chodzić do skoły, bo ci, co przydstawiali, to ponoć chodzą na III kurs zawodu. W następną niedziele to była znowu akademijo, aby ućcić Piusa XI. Nolepi mi się spodoboł śpiw, bom i takigo jesce nie słysoł i nie widzioł. We wtorek po tej niedzieli jako ze sie końcą zapusty, tośmy se trosecka

lepsejsik zjedli, bo troske lepiej łomascone, a na kolacje to i bułke my mieli zamiast cornego chleba. Po kolacji tośmy jesce roz widzieli przydstawienie „Miescanin ślachcicem". Teroz nastoł post swienty, ale tutok do postu wszyscy przyzwycajeni i tak se myślę, zeby to przynojmniej dobrzy ludzie nam co ofiarowali, bo jak nie bedzie za co kupić, to i na swinta bedzie post. Dziś, kiedy pise ten list jest ostatni dzień lutego, ale juz ciepło jest, śniegu mało, moze to już i bedzie wiosna. Końce i zegnom Cie kochana Ciotecko, a nie zapomnij tam o mnie, gdy będzies miała co dobrygo.

Wojtek Gazduła

Wesoły kącik.

I.

„Dobry żart — tynfa wart"

Zmartwychwstaje »Nasze życie«
i zmartwychwstać chce »Zagłoba«,
ten z »Trylogji«. — Jak widzicie
godna ze mnie jest osoba.

Więc wybrednym czytelnikom,
znudzonym prozy czytaniem —
no — i takim — co się trudnią
wyłącznie — piłki kopaniem

ofiaruję humor szczery.
I dla »małych« on pisany.
Proszę tylko dobrze strawić —
a zostanie zrozumiany —

bo wszystkim melancholikom,
co świat widzą w szacie czarnej,
daję dzisiaj śmiech swój prosty
choć we formie trochę marnej.

Za te »drzazgi« przygotujcie
dla mnie wieniec... laurowy?
nie! — kiełbasy! — Przecież kryzys.
Co? rozsądek u mnie zdrowy?...

To »Drzazg« pierwszy cel, a drugim
będzie: cieszyć zasmuconych,
repetentów, flegmatyków —
i wszystkich cyt! — za-wie-dzio-nych...

Całe szczęście miły Boże,
że śmiech w życiu nie wzbroniony
bo, co jabym wtedy robił,
będąc: »w smutku pogrążony...«

Oczywista! Tylko radość
duszę moją rozwesela,
niechaj płaczą ci — co muszą,
gdy im »ból serce rozdziera«...

A więc wszystko przeczytajcie
to, co piszę — aż do końca...
Może się mój brat uśmiechnie
nakształt wschodzącego słońca.

II.

(Na melodję: krakowiaka)

Bywają wypadki —
ciekawe na świecie,
o których nie wiedzą
w tutejszym powiecie.

Dziś wiek postępowy
lśni cywilizacją,
lecz przegrał na czysto
z demoralizacją...

Człowiek dla człowieka
»wilkiem« — pozostaje,
chociaż się z kulturą
codzień zapoznaje,

bo nauka skarbem,
kto jej potrzebuje
lecz komu nie trzeba —
zdrów się bez niej czuje.

Kto próżniactwo w Polsce
jako zawód głosi,
ten potem na starość
kij i torbę — nosi.

Zacni profesorzy
»wszystko« — tolerują,
ale za to w klasie
»czwórkami« okują.

III.

Tak niedobrze i tak źle.

Spróbuj jednym rację przyznać —
drudzy nienawidzą Cię —
Więc też z żalem trzeba wyznać
»tak niedobrze — i tak — źle!« —

Człek bogaty zawsze w strachu!
bo go złodziej okraść chce —
jesteś biedny — głód dokucza
tak niedobrze i tak źle.

Pożycz dzisiaj ludziom »forsę«
czy oddadzą — Bóg to wie,
a jak nie dasz skneră nazwą,
tak niedobrze i tak źle.

Dbasz o wygląd zaraz rzekną
»Elegancik«, pana »rżnie« —
zrób odwrotnie — żebrak jesteś
tak niedobrze i tak źle

Jeden mówi do drugiego:
wiesz co — zimno trzęsie mnie —
jak gorąco — to się poci —
tak niedobrze i tak źle —

Mówisz dużo z kolegami
Wnet gadułą — staniesz się
mówisz mało — mrukiem nazwą
tak niedobrze i tak źle!

Ucz się pilnie — to w nagrodę
otrzymasz choroby dwie,
jeśliś zdrowy — toś leń wielki —
tak niedobrze i tak źle!

Mów o sobie — jesteś blagier
tak przynajmniej słyszy się —
zrób naodwrót skrytym nazwą
tak niedobrze i tak źle!

jesteś biednym — lecz naprawdą
to żołądek marsza »rznie« —
kradniesz będziesz siedział w piekle
tak niedobrze i tak źle

powiesz prawdę człowiekowi,
to na ciebie jeszcze klnie,
a jak skłamiesz — nie uwierzy —
tak niedobrze i tak źle

Teraz kończę, bo przeczuwam,
że śmiać nikt nie będzie się.
A no! Wszystkim nie dogodzę —
tak niedobrze i tak źle.

„Zagłoba"

Żebraczka.

Pan: — Powiedziałem już raz, że zdrowym jałmużny nie daję.

Żebraczka: — Cóż to, pan chce żebym dla pańskiej przyjemności zaraz tyfusu dostała?

W szkole.

— Głuptalski, powiedz mi, w którym roku życia człowiek zmienia zęby?

— To zależy, panie psorze od tego, kiedy może dać zadatek dentyście.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Za liczne słowa uznania dla „Naszego Życia“ i zachęty najuprzejmiej wszystkim dziękujemy!

Przew. X. B. Sławiński. Serdecznie dziękujemy za pamięć, dziękujemy za Bajkę chińską i prosimy o stałą współpracę.

Jan Marny. Związek między pseudonimem a jakością poezyj zdaje się być szczególnie ścisły. Redakcja może skorzystać z pierwszych dwu wierszy, które są propagandą za „Naszem życiem“.

„Kto zawsze będzie czytał pismo
„Nasze Życie“,
Wszystkie nasze zakłady pozna
wyśmienicie.

Z artykułu p. t.: Potrzeby ludzkie a kultura nie skorzystamy. Za zbyteczne uważa Redakcja rozpoczynanie traktatu o kulturze od faktu stworzenia świata.

Artykuł zawiera dość dużo humoru, który jednak nie harmonizuje z powagą wywodów. Autor nie rozróżnia pojęć: kultura i cywilizacja. Prosimy nie zrażać się i pisać prozą, dołożywszy przygotowania i uwagi.

Autorowi „Preludjów Wiosennych“ zwracamy uwagę na konieczność przestrzegania rytmiki. Muza sięgnęła po temat do Kochanowskiego.

Malicki. Infirmarz będzie zamieszczony w majowym numerze „Naszego Życia“.

„Szpon“. Z artykuliku harcerskiego korzystamy.

„Teofilat“. Wiersz posiada szlachetną intencję, lecz gdy „Nasze Życie“ dojdzie do rąk Czytelników, już nie Gorzkie Żale, ale „Alleluja“ śpiewać trzeba. Rezurekcja nie udała się!

Granek. Z „Chumoresek“ w miarę potrzeby korzystać będziemy.

Ofiary złożone na Zakład w Pawlikowicach.

JWP. Księżna Adamowa Czartoryska Wr. 20 zł., JWP. Jadwiga Stasińska Tcz. 2 zł., Ks. Prob. Hubner M. Wisła 10 zł., JWP. Dr. Adam Kroebl Tom. L. 5 zł., JWP. A. Malinowski Woż. 1 zł., JWP. Agr. Dypl. W. Skotnicki Nw. 1 zł., Ks. Jan Chołoński St. 1 zł., JWP. Personel Drukarni „Powściągliwość i Praca“ Kraków 20 zł., JWP. Piotr Jękut Mircze 1,20 zł., JWP. Dr. Wojciech Żułowski Gisz. 3 zł., JWP. Janusz Dębicki Wr. 1 zł., JWP. Stanisław Gabryszewski Tr. 1 zł., Ks. Jan Palka Por. Usz. 3 zł., JWP. Adam Słabiński Mircze. 1 zł., Ks. Euzebjusz Brzeziewicz Wr. 20 zł., PT. Zrzeszenie Lekarzy Weterynaryjnych w Tarnopol. 20 zł., JWP. Zofja Żółkiewska Wr. 1 zł., JWP. Edmund Drozd Wr. 1 zł., JWP. Dr. Sabina Dębowska Wr. 5 zł., JWP. Mr. M. Kawski, Sn. 2 zł., JWP. Ludwik Zangl, Bl. 1 zł., JWP. Marja Dąbrowska, Wr. 10 zł., JWP. Mikołaj Ostaszewski, Mircze 5 zł., JWP. Piotr Drzewiecki, Wr. 5 zł., JWP. Zygmunt Dobrowolski, Wr. 2 zł., JWP. Płk. Otton Czuruk, Wr. 10 zł., JWP. Michał Boruciński, Wr. 1 zł., Ks. Proboszcz Parafji Zawada 50 zł., JWP. K. Zwierzycka In. 5 zł., JWP. Helena Dorabrolt, Wr. 1 zł., PT. Bank Akceptacyjny, Wr. 10 zł., JWP. Aleksander Szulc, maj. Nap. 10 zł., JWP. Jan Józef, Rz. 5 zł., JWP. Dr. Sobiech maj. Rudki 7 zł., JWP. Janina Jacynowa, Pasieki 1 zł., PT. Dyr. Państw. Gimn. w Buczaczu 3,40 zł., JWP. Józef Rokosz, Brz. 1 zł., JWP. Dr. Zawrotniak, Czr. 1, JWP. K. Fedorowski, Lw. 1 zł., JWP. Zygmunt Mielęcki, Bsz. 1,50 zł., JWP. Wł. Damniczak, Wr. 1 zł.,

JWP. Dr. Bogusław Dąbrowski, Wr. 2 zł., PT. Majętność Moroczyny Ost. 2 zł., JWP. Jan Kowalski maj. Bielsk. 1 zł., JWP. Jan Dąbkowski, Wr. 2 zł., JWP. Stanisław Żołędowski, Kam. 3 zł., JWP. Dr. Helena Zakrzewska, Wr. 5 zł., JWP. Tadeusz Czechowicz, Wr. 1 zł., JWP. M. Adamczewski, Wr. 1 zł., JWP. Preibisz Anna, Tor. 1 zł., JWP. Z. Czarnecki, Wr. 2 zł., JWP. Gen. Józef Burhardt, Opalenie 5 zł., JWP. Gen. Gustaw Orlicz-Dreszer, Wr. 5 zł., JWP. Jadwiga Ciumdziewicka, Wr. 2 zł., JWP. Michalina Dębicka, Wr. 5 zł., JWP. Celina i Kl. Drożdzyńskie, Wr. 2 zł., JWP. Marja Korpińska, Miniatycze 20 zł., JWP. A. Jacuńska, Wydżno 1 zł., JWP. Klemens, Łaski Tuch. 1 zł., JWP. Teodor Pozorski, Tuch. 1 zł., JWP. Tadeusz Morstin, Strz. 3 zł., JWP. Leonard Cybulski, Wr. 1 zł., PT. Zarząd Gł. Dóbr i Int. Księstwa Czartoryskich, Wr. 20 zł., JWP. Inż. Zechenter, Jaworzno 2 zł., Ks. Kroplewski, Pop. Bisk. 1 zł., JWP. Not. Bohdan Stasiński, Tcz. 2 zł., JWP. Dr. Aleksander Dubieński, Wr. 2 zł., JWP. Władysław Danielewicz Wr. 1 zł., JWP. Tadeusz Borkowski, Wr. 50 zł., JWP. Dr. Jan F. Drewnowski, Wr. 10 zł., JWP. Jadwiga Bialikiewicz, Kr. 1 zł., JWP. Roman Czanderna, Wr. 2 zł., JWP. Kazimierz Daszkiewicz, Wr. 1 zł., JWP. Emil Brzozowski, Wr. 2 zł., PT. Państw. Gimn. M. J. Piłsudsk., Bd. 1 zł., JWP. Józef Zielonacki, Chrz. 3 zł., JWP. Bolesław Kwieciński, Łuck 2 zł., JWP. Marja Wojnar, Zakop. 5 zł., JWP. B. Lisowski, Bd. 1 zł., JWP. Henryk Czarnecki, Wr. 1 zł., JWP. Bronisław Duda, Wr. 2 zł., JWP. L. Czerniak, Wr. 3 zł., JWP. Dr. J. Dąbrowski, Wr. 1 zł., JWP. Dr. Józef Wierzbicki, Uhn. 1 zł., JWP. Aleksander Żołędziowski, Kl. 2 zł., JWP. Czesław Dajkowski, Wr. 2 zł., JWP. Henryk Żelichowski, Wr. 5 zł., JWP. Janina Czerkiewiczowa, Wr. 2 zł., JWP. Melanja Dobiecka, Wr. 1 zł., JWP. Franciszek Podzimski, Brz. Śl. 2 zł., JWP. Jan Brym, Wr. 2 zł., JWP. Władysław Jelski, Rak. 2 zł., JWP. Rudolf Dobrzański, Kr. 2 zł., JWP. Teresa Tyszkiewiczowa, Ld. 5 zł.,



Gdzie koń ?

Adres Redakcji i Administracji:

PAWLIKOWICE, P. WIELICZKA, ZAKŁAD WYCHOWAWCZY

Pod tym adresem należy przesyłać artykuły, sprawozdania, materjały do różnych działów, listy i t. p.

Rękopisów Redakcja nie zwraca, lecz ważniejsze przechowuje.

Prenumerata roczna w kraju zł. 2·20, kwartalnie 60 gr. Cena pojedyńczego egzemplarza 25 gr. — zagranicą 4 zł. p.

Wszelkie wysyłki pieniężne należy przesyłać czekiem do P. K. O w Krakowie na konto Nr. 404.854.

Wydawca: Zakład Wychowawczy w Pawlikowicach.

Redaktor odpowiedzialny: Ks. Stanisław Kot.